

The devil
tainted
us

SHANJIDA NUSRATH ALI

*The devil
tainted
us*

SHANJIDA NUSRATH ALI

SND
P



Grzeszna, momentami brutalna, ale i piekielnie gorąca opowieść tocząca się w murach szpitala psychiatrycznego. Poznasz tu księży i siostry zakonne, którzy nie spuszczaają z oczu swoich pacjentek. Mimo pozorów nie znajdziesz tam jednak Boga – to miejsce skalane jest grzechem i nieprawością, a rządzić nim zdaje się sam diabeł. Wciągająca, mroczna i pełna tajemnic historia, która jeszcze przez bardzo długi czas nie pozwoli mi o sobie zapomnieć.

Dagmara Jakubczak



Uwaga

Książka zawiera opisy scen seksu, nadużycia narkotyków, przemocy fizycznej, samobójstwa, molestowania, agresji, a także odniesienia do religii i wulgarne słownictwo.

Treść może nie być odpowiednia dla wszystkich czytelników.



Playlista

Boy Epic – *Scars*
Digital Daggers – *In Flames*
The Weeknd – *Often* (Kygo remix)
Ramsey – *See You Bleed*
Boy Epic – *Dirty Mind*
Ruelle – *War of Hearts*
Ruelle – *Monsters*
Ruelle – *Madness*
Ruelle – *Closing In*
Sam Tinnesz – *Wolves* (feat. Silverberg)
Natasha Blume – *Black Sea*
Ruelle – *Deep End*
Ruelle – *Bad Dream*
Zella Day – *Shadow Preachers*
Boy Epic – *Wolf*
Fleurie – *Sirens*
Fleurie – *Love and War*



Julia Michaels – *Heavens*

Sam Tinnesz – *Man or a Monster* (feat. Zayde Wolf)

Tedy – *Flames*

Tommee Profitt – *Glass Heart* (feat. Sam Tinnesz)

Zayde Wolf – *Walk Through the Fire* (feat. Ruelle)

Sam Tinnesz – *Far From Home (The Raven)*

Ruelle – *The Other Side*

Cat Pierce – *You Belong to Me*

Sam Tinnesz – *Watch Your Back*

MILCK – *Devil Devil*

Ruelle – *Secrets and Lies*

RAIGN – *Don't Let Me Go*

Sam Tinnesz – *Even If It Hurts*

Katie Garfield – *All Is Lost*

Klergy – *Caught In the Fire*



Prolog

Vailburg, 1967 rok

Płynąca z głośników radia piosenka Paula Anki *Put Your Head on My Shoulder* miesza się z wrzawą ruchu ulicznego. Jadę wraz z bratem, a moja głowa porusza się w rytm muzyki. Na nosie mam okulary przeciwsłoneczne, jedną rękę trzymam na kierownicy, drugą nonszalancko opieram o drzwi swojego czarnego chevroleta camaro. Wiatr delikatnie muska nasze policzki.

Brat zaciąga się cygarem, po czym wydycha chmurę śmierdzącego dymu. Im bardziej zbliżamy się do ulicy, przy której mieszkają rodzice, tym wyraźniej czuję, jak atmosfera się zagęszcza. Ale obaj wiemy, że trzeba to zrobić.

Przez tyle lat siedzieliśmy cicho, znosząc zawstydzenie i tortury bez ani jednego słowa protestu. Czas mijał, a my nadal pamiętaliśmy cierpienie, które nam zgotowano w tym piekle na ziemi.

Zwalniam, a potem zatrzymuję się przed zamkniętą żelazną bramą. Malcolm, nasz pięćdziesięcioletni ochroniarz, podchodzi z lekkim uśmiechem, po czym wpuszcza nas bez słowa. Nie musi o nic wypytywać. W końcu był dla nas jak wujek od dnia, w którym się narodziłyśmy.

– A co wy tutaj robicie? Myślałem, że jesteście w delegacji – mówi, zakładając ramiona na piersi.

– Czy rodzice są w domu? – odpowiadam pytaniem, zdejmując okulary.

Mężczyzna kiwa niepewnie głową.

– Wrócili z galerii jakiś kwadrans temu.

Słyszę obok siebie szelest – to mój brat wyjmuje spory plik pieniędzy i podaje go Malcolmowi.

– Idź do domu i już nie wracaj. Nie będziesz więcej potrzebny.

Malcolm ściąga twarz w wyrazie dezorientacji. Marszczy czoło, a w jego oczach błyszczy ból i niedowierzanie.

– Ale proszę pana, co ja takiego zrobiłem? Nie rozumiem... Po dwudziestu latach służby... – jąka.

– Robimy to dla twojego dobra. Wszystkim się zajmujemy, możesz odejść.

Nie mówiąc nic więcej, ruszam i okrążam fontannę, na którą moja matka wydała fortunę. Parkuję i obaj otwieramy drzwi. Kiedy wysiadamy, zapinam marynarkę czarnego garnituru i wyciągam rzeczy, które kupiliśmy godzinę temu. Bez ceregieli wchodzimy do domu, gdzie wita nas odbijający się od ścian dźwięk płynący z telewizora w pokoju dziennym. Wiemy, że pokójówek tu nie ma, bo poinformowaliśmy je o zerwaniu umowy, nim się tu pojawiliśmy. Podążamy za dźwiękiem; nasze kroki odbijają się echem od marmurowej podłogi, kiedy wchodzimy do salonu.

Rodzice siedzą na pluszowej szarej kanapie. Matka opiera głowę o tors ojca, który jedną ręką otacza żonę, a drugą trzyma na jej udzie. W tym momencie wyglądają jak każda inna

parka ciesząca się własnym towarzystwem. Oglądają sitcom i śmieją się z ludzi robiących z siebie błaznów na oczach milionów widzów. Matka ma swoją ulubioną zieloną sukienkę z bufkami. Jej włosy są nienagannie ułożone, a twarz zdobi delikatny makijaż. Perfekcjonistka – jak zawsze. Ojciec z kolei nie ma na sobie garnituru. Ubrany jest w zwykłą niebieską koszulkę polo i spodnie w kolorze brudnej bieli, a stopy wsuwał w wypolerowane czarne buty.

Doskonały obraz szczęśliwej, bogatej pary.

Ale nic z tego nie jest prawdą. To tylko cholerne maski na twarzach potworów, którymi oboje są.

Ruszamy w stronę kanapy i stajemy za nią. Rodzice spoglądają w naszą stronę, a ich uśmiechy bledną.

– Chłopcy? Kiedy wróciliście? – pyta matka, podnosząc się i prostując.

Ojciec również wstaje, a potem wsuwa dłonie w kieszenie.

– Myślałem, że wracacie w przyszłym tygodniu. Spotkanie skończyło się wcześniej? – mówi, marszcząc czoło. Na jego twarzy pojawia się poważny wyraz.

Obaj milczymy. Wlepiamy w nich zimne, bezduszne spojrzenia. Nie mogąc znieść tej ciszy, matka klaszcze w dłonie i na powrót przybiera ten sam sztuczny uśmiech, który pamiętamy jeszcze z czasów dzieciństwa.

– No to może lunch w ogrodzie? – Patrzy najpierw na nas, potem na ojca, oczekując odpowiedzi. – Każę służącym przygotować wasze ulubione potrawy. Jest cudowna pogoda, idealna, by spędzić razem trochę czasu.

Odpowiada jej cisza przerywana głosami aktorów w telewizji. Spoglądam na brata. Na jego twarzy malują się te same emocje, które ja odczuwam.

Chłód. Gniew. Obrzydzenie.

W następnej chwili obaj wyciągamy z wewnętrznych kieszeni marynarek pistolety i celujemy w rodziców. Na ich obliczach

momentalnie pojawia się przerażenie; oczy rozszerzają się, a oddech przyspiesza.

– C-co... co wy robicie? Natychmiast odłóżcie broń – nakazuje ojciec niepewnym głosem. Chyba stara się grać twardego, ale słabo mu to wychodzi.

– Nie musicie tego robić – duka matka. – Jesteśmy waszymi rodzicami... Jesteśmy rodziną...

Śmieję się bezgłośnie, odbezpieczając pistolet.

– Rodziną? – powtarza mój brat. – Nie sądzę, żebyście w ogóle wiedzieli, co to słowo oznacza.

– Słuchajcie, jeśli robicie to dla pieniędzy, pamiętajcie, że w przyszłym miesiącu przejmiecie i pieniądze, i firmę. Jesteście dorośli, więc to wszystko wasze...

Strzelam w wazon. Rodzice wrzeszczą, drżąc ze strachu. Od dawna chciałem to zobaczyć i... na Boga, jest co oglądać.

Kręcę głową, a na moich ustach pojawia się mroczny uśmiech.

– Oboje znacie prawdziwy powód.

– Ch-chcicie przeprosin? Jasne, przeprosimy. Obojgu nam jest bardzo przykro – mówi matka, spoglądając na ojca i przynaglając go, by do niej dołączył.

– Tak. Żałujemy, że robiliśmy wam to wszystko. Wybaczcie nam, prosimy. My wybaczyliśmy wam każdy błąd, więc powinniście zrobić to samo.

– Jesteście krwią z naszej krwi. Naszymi synami. Przecież was nie adoptowaliśmy...

– Sam fakt, że jesteście z nami spokrewnieni, sprawia, że nie da się tego wybaczyć – przerywam matce. – Zrujnowaliście nasze życie od początku do końca. Cokolwiek zrobimy, gdziekolwiek pójdziemy, zawsze będziemy przez was skalani.

– Przecież to jasne jak słońce, że żadne z was nie żałuje, więc skończcie tę farsę – cedzi mój brat przez zaciśnięte zęby. Mocniej ściska rękę pistoletu.

– Nie uda wam się. Policja was dopadnie. – Ojciec jak zawsze gra dyplomatę.

– Wiecie co? To byłoby dla was za łatwe – mruczę i kiwam głową w kierunku brata. On, zrozumiałwszy mój gest, wychodzi z pokoju. Gdy wraca, niesie dwa tasaki w jednej dłoni, a w drugiej wiadro wody. – Siadać – rozkazuję.

Na szczęście nie opierają się i opadają powoli na kanapę. Patrzą jeszcze po sobie, a potem ich spojrzenia wędrują w moją stronę. Brat kładzie wszystko na stole i zajmuje moje miejsce. Odkładam broń obok wiadra, podnoszę jedno z ostrzy i przybliżam do twarzy. Słońce odbija się od jego wypolerowanej powierzchni.

Podchodzę do rodziców i klękam obok matki, której twarz nie jest już tak idealnie pomalowana. Cóż, makijaż nigdy nie krył jej podłości. Spoglądam na jej dłonie i muskam lekko pomarszczoną skórę opuszkami palców, napawając się przeżeniem kobiety.

– To te dłonie mnie trzymały, kiedy się urodziłem... ale gdybym wiedział, że na zawsze mnie zniszczą, błagałbym Boga, żeby pozwolił mi umrzeć, nim przyszedłem na świat.

– P-przepraszam... proszę... – łka matka.

Jej cholerne przeprosiny sprawiają, że zaczyna się we mnie gotować krew. Bezceremonialnie łapię jej ręce i kładę je na stole. Zanim w ogóle wyobraża sobie mój następny ruch, odrąbuję jej palce.

– Aaa! – wrzeszczy ile sił w płucach, ale zatykam jej usta zakrwawioną dłonią.

– Nie... – Ojciec stara się zaprotestować, ale ucisza go pełne zniecierpliwienia cmoknięcie brata.

Matka wije się z bólu, ale ja nie czuję wobec niej ani grama współczucia. Na wspomnienie tego widoku zawsze będę się triumfalnie uśmiechał. Wreszcie nieco się uspokaja i rozluźnia ciało. Odsuwam od niej dłoń, uśmiechając się ponuro. Sięgam po wiadro i ponownie chwytam jej dłonie.

– A może byśmy ci trochę ulżyli? – mruczę i zanurzam je w wodzie. Z jej piersi wyrывa się kolejny wrzask, kiedy osolona woda wzmacnia cierpienie.

Niespodzianki to taka frajda.

Matka stara się wyrwać z mojego uścisku, lecz ja wypycham jej dłoń jeszcze głębiej do wiadra.

– Och, ojczulku, chyba czujesz się zaniedbany – mamroczę brat i podchodzi do niego. Ten natychmiast się spina. – Zawsze twierdziłeś, że za bardzo się tu rządzą. Miałem ochotę jakoś cię uciszyć. Sądzę, że wreszcie wiem jak.

Domyślam się, co chce przez to powiedzieć, kiedy podchodzi do szafki i wyciąga z szuflady przybory do szycia. Nawleka igłę, wraca do ojca i odciąga jego głowę do tyłu.

– Nie! Nie! Przestań!

Na moment odchodzę od matki i przykładam mu nóż do gardła. Nie muszę nic mówić, by zrozumiał, że ma siedzieć cicho.

– Tak jak myślałem – parskam.

Brat siłą zamyka ojcu usta i przebija skórę igłą. Widzę, jak napawa się każdą sekundą cierpienia naszego staruszka. Krew skapuje mu z brody na koszulkę. Te zduszone jęki i wrzaski brzmią niczym muzyka. Ale brat się nie spieszy. Nie robi tego ze względu na ostrożność – chce, by ojciec cierpiał jak najdłużej.

Kiedy wreszcie kończy, odsuwa się, by popodziwiać swoje dzieło, i wykrzywia wargi w uśmiechu.

– Wyglądasz znacznie przystojniej, ojczu – drwi.

Z ranek przy ustach bucha szkarłat i zalewa policzki.

Hmm... Haft krzyżykowy naprawdę mu pasuje.

– Wiesz co, chyba wiem, jak sprawić, żeby wyglądał jeszcze lepiej – podsuwam.

Brat stoi w tym samym miejscu, celując do rodziców z broni, a ja ruszam do kąta, gdzie ojciec trzyma swoje wędkę. Znajduję dwa haczyki i mocując sznurek, wracam do rodziców.

– Chcę wyraźniej zobaczyć twoje oczy. Zastanawia mnie, ile ciemności w nich chowasz.

Zrozumiałwszy, co zamierzam, ojciec podnosi wyżej powieki i wrzeszczy, lecz jego krzyki są stłumione dzięki pięknej robocie brata.

Pochylam się i odciągam mu powieki, po czym wbijam pierwszy haczyk. Jego grdyka drga od dźwięku, który nie potrafi się wydostać. Na policzek spływa więcej krwi, lecz ja ani na moment się nie zatrzymuję.

– Och nie, matko. Musisz to zobaczyć – odzywa się brat. Podchodzi do kobiety i przywodzi ją bliżej, trzymając za głowę. Widzę po jej twarzy, że przepełniają ją przerażenie i obrzydzenie.

Tak jak nas wtedy.

Kiedy już oba haczyki są przymocowane do powiek ojca, napinam sznurki tak mocno, że zaraz chyba wypadną mu oczy.

Wpatruję się w nie i widzę dokładnie to, co dostrzegłem tego dnia, kiedy zostaliśmy na zawsze zniszczeni.

Pustkę. Mrok.

Ale tym razem jest coś jeszcze – przerażenie.

– Proszę, chłopcy, przestańcie... błagam was – szepcze matka drżącym, łagodnym głosem, jakby miała nadzieję, że to zmiękczy nasze serca. Ale one nie istnieją.

– Wy nie przestaliście, więc niby czemu my powinniśmy? – warczę.

Matka zaczyna łkać, a z jej oczu płyną krokodyle łzy. Chyba nadal myśli, że zmienimy zdanie. Niestety, myli się. Przestało nam na nich zależeć.

Brat kiwa na mnie głową i obaj chwytamy pistolety.

– Jakież ostatnie słowa? – pytam z satysfakcją.

– Mmm... mmm...

Ojciec nie ma okazji dokończyć zdania. Pociągam za spust i patrzę, jak kula trafia go prosto w czoło, a ciało osuwa się na

dywan. Matka wrzeszczy z przerażenia na widok powiększającej się czerwonej kałuży.

Podchodzimy do niej, sycąc się jej strachem. Drży, jakby traciła zmysły. Górujemy nad nią niczym dwa demony, które za chwilę wyrwą duszę z jej piersi, a ona spogląda na nas, błagając o łaskę i krztusząc się łzami.

– Proszę... przepraszam... powinnam była być lepszą matką. Proszę, nie zabijajcie mnie... nikomu nie pisnę ani słówka.

– Nie chce mi się słuchać twojej paplaniny – mrużę.

Chwytam ją za policzki i zmuszam, by otworzyła usta. Wyrwa się i trzęsie, próbując się uwolnić, ale nie ma dokąd uciec. Sięgam po jej język i spoglądam na brata, który podaje mi tasak. Matka wytrzeszcza oczy, lecz nim jest w stanie cokolwiek zrobić, odcinam jej język.

Patrzy na nas złęknioma, jej ciało drży, a spomiędzy warg tryska krew. Łzy zalewają jej policzki. Stara się zatrzymać dłońmi krwotok i zdusić wrzaski.

Cisza trwa tylko przez chwilę, bo brat za pociągnięciem spustu szybko kończy bezwartościowe życie kobiety. Krew ochlapuje nam twarze i ubrania.

To koniec. Nasi rodzice nie żyją. To my ich zabiliśmy.

Nawet jeśli policja uzna nasze czyny za przejaw chciwości, my będziemy znać prawdę. Zasłużyli na to. Nie trudząc się wycieraniem policzków i czoła, podchodzę do półki, na której ułożone są drogie cygara i alkohole ojca. Wyciągam cygaro i chwytam pilota, po czym siadam na wolnej kanapie i przełączam program. Wkrótce dołącza do mnie brat trzymający najdroższą whisky. Pije prosto z gwinta. Wypuszczam dym, biorę od niego butelkę i pozwalam alkoholowi wypalić gardło. To mnie uspokaja.

– Nie ma dzisiaj jakiegoś meczu? – pyta i znowu pociąga łyk, a jego oczy utkwione są w ekranie.

Marszczę lekko czoło, myśląc.

– Nie, chyba przeniesiono go na przyszły tydzień.

– Och, nie wiedziałem.

Wybieram jakiś sitcom, opieram się wygodnie i zakładam nogę na nogę.

Ktoś inny na moim miejscu pewnie by uciekł, zatarł ślady swojego przestępstwa, ale ani ja, ani brat nie czujemy się winni. Nie mamy wyrzutów sumienia. Obaj wiemy, że rodzice sobie zasłużyli – i że właśnie to należało zrobić po tych wszystkich latach cierpienia.

Już w momencie, w którym po raz pierwszy otworzyliśmy oczy, poznaliśmy mrok. Nigdy nie zazналиśmy niewinności ani radości. Myśleliśmy, że od tej pory wszystko będzie w porządku. Mrok już nas nie ogarnie. A jednak się myliliśmy – obaj w głębi serca wiedzieliśmy, że ciągnie nas w kierunku czarnej dziury, z której już pewnie nie wrócimy.

Morderstwo sprzed chwili to udowodniło.

Nie było powrotu. Już nie.

To koniec.

Zniszczył nas drzemiący w nas diabeł... To on nas skałał.



Rozdział pierwszy

Agatha

Vailburg, 1983 rok

Wrzeszczę ile sił w płucach. Od tego wrzasku bolą mnie uszy. Czuję na sobie kilka par silnych, szorstkich dłoni lekarzy i pielęgniarzy. Dwie pielęgniarki stoją gdzieś w rogu, a ich szeroko otwarte przepełnione przerażeniem oczy napotyka ją czerń moich.

– Podajcie pasy, szybko! – rozkazuje doktor swoim do-
nośnym, opryskliwym głosem.

Kobiety nie zastanawiają się ani przez sekundę, tylko wy-
biegają z sali.

– Aaa! – krzyczę znowu i niemalże czuję, jak na szyi wy-
łażą mi żyły. Trzymające mnie ręce mocniej zaciskają palce.
Wiem, że zostaną mi od tego siniaki.

Wyrwam się, jak tylko mogę. Moje włosy przypominają
jeden wielki kołtun, szpitalna koszula odsłoniła mi uda.

Ułamek sekundy później słyszę charakterystyczny dźwięk
rzepów, kiedy lekarze i pielęgniarze przypinają mnie do łóż-
ka. Czuję, że mam już sztywno przymocowane nogi do jego
ramy i nie mogę nimi poruszać. Kiedy jeden z lekarzy bez-
myślnie puszcza moją dłoń, wykorzystuję szansę i chwytam
stojącą na stoliku nocnym metalową tacę. Z całej siły walę
nią w potylicę mężczyzny.

– Kurwa! – jęczy z bólu, chwytając się za głowę i kuląc.
Uderzam ponownie, a on upada na podłogę. Pielęgniarze
rzucają mu się na pomoc.

Pozbywam się nieskrępowaną dłońią pasów i uwalniam
się, po czym zeskakuję z łóżka i pędzę w stronę drzwi.

– Nie pozwólcie jej uciec! – słyszę krzyk lekarza.

Adrenalina miesza się ze strachem, kiedy wybiegam z sali,
nie patrząc za siebie. Dyszę ciężko, a oczy desperacko szu-
kają wyjścia. Korytarz jest opustoszały; proste, jasne lampy
oświetlają białe ściany i podłogi. Biegnę, a do nosa dociera
znajomy zapach środków odkażających.

Zwracam uwagę na szerokie drzwi po prawej. Ignorując pie-
czenie w gardle i łomocące serce, rzucam się w ich kierunku. Za
moimi plecami rozbrzmiewają zbliżające się kroki. Kielkująca we
mnie nadzieja na wolność w ułamku sekundy zostaje stłamszo-
na, bo drzwi okazują się zamknięte na cztery spusty. Desperacko
szarpnię klamkę, lecz na nic się to zdaje. Nie jestem w stanie nawet
pomyśleć o kolejnym sposobie ucieczki, bo czyjeś dłonie cią-
gną mnie z powrotem w miejsce, z którego właśnie wybiegłam.

Raz jeszcze krzyczę i miotam ciałem tak mocno, że osu-
wam się na kolana. A jednak właścicieli tych rąk to nie inte-
resuje; znów mnie chwytają, ignorując moje wołanie.

– Błagam, nie! Nie róbcie tego! Nie! – wrzeszczę, a mój głos odbija się echem od ścian. Szarpie się przez całą drogę powrotną do sali, gdzie lekarz nadal pociera swoją obolałą głowę. Wbija we mnie wzrok.

– Kładźcie ją na łóżku. Ruchy! – warczy, a pielęgniarze, którzy mnie tu przyprowadzili, wykonują polecenie.

Próbuję się zastanowić nad swoim położeniem, lecz wtedy czuję wbijającą się w prawe ramię igłę. Wszystkie moje mięśnie w mgnieniu oka wiotczeją, a ciało jakby nic nie waży. Myśli ulatują gdzieś daleko. Obraz przed oczami się rozmywa. Głosy lekarzy i pielęgniarzy co prawda docierają do moich uszu, lecz nie rozumiem ani słowa. Powoli tracę jakiegokolwiek połączenie z rzeczywistością, a ciemność chwytą mnie w swoje ramiona.



Nie mogę się ruszać. Czuję tylko palący ból w głowie i klatce piersiowej. Każda komórka mojego ciała wydaje się uwięziona. Przytroczona do ciemności. Wszędzie jest ciemno.

Gdzie ja jestem?

Zmuszam się do otwarcia oczu, lecz ciało nie współpracuje. Próbuję coś powiedzieć, ale nie czuję swoich ust. Gdzieś niedaleko rozbrzmiewają szept... *Posłuchaj ich. Posłuchaj! Cholera, słuchaj!*

– Nie może tu dłużej zostać, panie Arthur. – To głos lekarza. Ale co tu robi Tristen? Nie może go tu być... nie powinno go tu być...

– Dobrze pan wie, że wiele przeszła, odkąd straciła siostrę. Od chwili śmierci mojej żony nic nie jest dla niej takie samo. Musi jej pan pomóc, doktorze, jest pan moją jedyną nadzieją.

Nie. Nie mów o niej. Nie waż się wymawiać jej imienia!

– Rozumiem pańskie zmartwienia. Ale dzisiaj prawie straciła nad sobą kontrolę. Nie mogę ryzykować reputacji

szpitala i bezpieczeństwa swoich pracowników ze względu na pańską szwagierkę. Obawiam się, że ona... że to poza naszymi kompetencjami. Może ona jest... – Jego głos słabnie.

– Że ona co? – pyta Tristen.

– Pielęgniarki słyszeli, jak mówi do siebie o grzechach i o demonach w pokoju. Rozgląda się nerwowo, wlepia wzrok w ściany. Niekiedy w nocy rozdrapuje skórę do krwi, śmiejąc się historycznie. Wszystko wskazuje na to, że może być opętana.

– Co? Pan oszalał, doktorze...

– Przytaczam fakty, panie Arthur. Wszyscy modlimy się do Boga o bezpieczeństwo i zdrowie najbliższych. Wierzymy w jego istnienie, więc dlaczego nie mielibyśmy wierzyć w demony i w diabła?

Przez kilka sekund panuje cisza.

– Wiem jedno: Agatha nie może dłużej zostać w moim szpitalu. Bardzo mi przykro.

– A więc co pan sugeruje?

Lekarz wzdycha, po czym mamrocząc w odpowiedzi:

– Jest pewne miejsce, w którym wiem, że leczy się takich jak ona. Ale to z dala od Vailburg Hill. Nie zezwala się na jakiegokolwiek widzenia aż do momentu kompletnego wyzdrowienia. Pacjentami zajmują się duchowni i siostry zakonne. Jednym z księży jest lekarz, który mieszka tam dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Sugeruje pan, że... – Tristen nie kończy. Jego rozmówca również milczy, a cisza i niepewność wdzierają się w moje serce.

– Och, doktorze. Zrobię, cokolwiek trzeba będzie, żeby wydobrzała. Tylko na tym mi zależy. Proszę się nie martwić o pieniądze ani czas. Wszystko zapewnię.

– W porządku. Napiszę do nich z samego rana. Wkrótce powinni odpowiedzieć.

Głosy nadal szepczą, ale wkrótce przestają je słyszeć. Mrok ponownie pochłania moją duszę. Wiem, że kiedy znowu otworzę oczy, już mnie tu nie będzie.

Będę w jakimś nowym miejscu, otoczona obcymi, traktowana jak opętana przez diabła. Ale doskonale wiem, o której placówce mowa. Sama jej nazwa brzmi niczym te straszne opowieści, które dziadkowie opowiadają swoim wnukom. Nawet nie chcę o niej myśleć, ale nie mam już innego wyjścia...

Otworzą się przede mną bramy piekieł.

Wkrótce wyląduję w Marii Magdalenie.



Rozdział drugi

Agatha

– Przyjdą czasy, gdy mężczyźni będą chcieli cię zerwać niczym delikatny kwiatusek. Uczyć rzeczy, jakbyś miała nigdy nie dorosnąć – mruczy Helena, rozczesując mi włosy.

Słucham jej słów, siedząc przed nią na stołeczku.

– To nie oznacza, że wiedzą cokolwiek ponad to, co sama będziesz kiedykolwiek wiedziała. Będą ci rozkazywali, będą cię kontrolowali – kontynuuje, a ja czuję na skąlpie drewniane ząbki szczotki. – Ale ty masz im na to pozwolić i z dumnie uniesioną głową robić to, na co tylko masz ochotę.

Odwracam się, spoglądając na jej postać oświetloną ogniem płonącym w kominku, i pytam:

– Ale dlaczego? Nie będzie cię przy mnie?

Bierze moją twarz w dłonie i kieruje ją znów do przodu, po czym zaczyna zaplatać mi w warkocz długie czarne włosy.

– Pewnego dnia zostaniesz całkiem sama. Nie będziesz miała nikogo prócz siebie. Więc nie będziesz miała innego wyjścia jak zadbać o siebie. Nie możesz pozwolić na to, by świat traktował cię jak pionek w tej grze.

Kiedy kończy czesanie, jak każdej nocy, czuję jej delikatne dłonie na ramionach.

– Lepiej jest być samą, Agatha. To zapewni ci bezpieczeństwo. Jeżeli komuś zaufasz... Cóż, równie dobrze możesz wejść w otchłań piekielną.

Nagle się podrywam. Jestem w samochodzie z Tristenem i mkniemy żwirową drogą. Za oknem po jego stronie widzę mnóstwo drzew – po mojej rozpościera się ocean. Atmosfera jest tak gęsta, że zaczynam się dusić, więc otwieram okno.

Czuję na policzkach chłodną bryzę, która rozwiewa mi włosy. Tak bardzo za tym tęskniłam. Wiele rzeczy w życiu bierzemy za pewnik, bo wydają nam się częścią codzienności. Dopiero gdy ktoś nam je odbierze, rozumiemy ich wartość.

Doprawdy, jesteśmy skończonymi głupcami.

Tristen zatrzymuje się przy nabrzeżu. Otacza nas rumor fal rozbijających się o brzeg. Nad oceanem rozpościera się całun zimowej mgły, przez co nie można dostrzec jego piękna. Marszczę czoło i spoglądam na mężczyznę, on jednak wlepia wzrok przed siebie, w pustą drogę, i mocniej ściska kierownicę chevroleta, którego dostał w prezencie ślubnym od swojego ojca.

Nadal pamiętam ten dzień, kiedy odebrał mi moją starszą siostrę, Helenę. Oboje śmiali się wesoło – jak każda radosna para. Machała mi na pożegnanie, gdy wyruszali w podróż poślubną. Nie miałam jednak pojęcia, że będzie to ostatni raz, kiedy zobaczę jej uśmiech.

Grdyka Tristena drga, kiedy mężczyzna przełyka ślinę i wzdycha.

– Nie chcę ci tego robić, Agatho.

Ma na sobie czarny garnitur i szary krawat. Jego włosy są idealnie zaczesane do tyłu. Od zawsze był perfekcjonistą, lecz najwyraźniej nie najlepszym małżonkiem.

– Ale robię to ze względu na twoją siostrę. Chciałaby, żebym się tobą zajął. – Odwraca się w moją stronę. Patrzy na mnie z litością i głaszcze po głowie. – Dla niej musisz wydobrzeć.

Milczę wpatrzona w statek kołyszący się przy drewnianym pomoście. Nagle zauważam, że miejsce, które zazwyczaj jest pełne ludzi, teraz zdaje się opuszczone. Niczego nie mogę zobaczyć przez gęste opary, ale za to słyszę zbliżające się kroki.

Tristen chwyta moją brodę i spogląda na mnie łagodnie.

– Przykro mi, Agatho, ale nie mam innego wyjścia.

Nagle drzwi obok mnie się otwierają, a przez moje ciało przechodzi dreszcz. Nim jestem w stanie zorientować się w sytuacji, dwie silne dłonie chwytają moje ramiona tak mocno, że czuję, jak zagłębiają się w skórce, i wywlekają mnie z auta.

Czuję przerażenie. Posyłam Tristenowi zdesperowane spojrzenie w niemym błaganiu o pomoc, lecz ten drań siedzi spokojnie i nawet na mnie nie patrzy. Próbuję krzyknąć, lecz te same dłonie, które wyciągnęły mnie z samochodu, teraz zakrywają mi usta. Zaczynam się rzucać, niestety jednak podchodzi do nas jeszcze jeden mężczyzna i łapie moje nogi, by pomóc porywaczowi.

Mężczyzna naprzeciw mnie ma na sobie czarny kombinezon, a jego twarz schowana jest za białą maską. Docieramy do nabrzeża, gdzie zauważam ukrytą za statkiem łódkę. Na niej czeka kolejny podobnie ubrany człowiek. Przechwytuje mnie, gdy tamci wrzucają mnie na pokład. Wykorzystuję okazję i zaczynam wołać o pomoc tak głośno, jak tylko potrafię. Przez moment nawet mam ochotę wskoczyć do wody i odpłynąć.

– Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! – wrzeszczę.

Łódka się kołysze, gdy wskakuje do niej mężczyzna, który chwilę wcześniej trzymał moje ramiona. Łapie mnie za ramię i wyciągnąwszy gigantyczny lśniący nóż, przykładami go do gardła.

Nieruchomieję, jak gdybym zmieniła się w posąg, a strach pożera mnie od środka. Twarz tego człowieka również kryje się za maską, niemniej czuję ciepło jego oddechu na policzkach.

– Skończyłaś się drzeć? – pyta, a szorstki głos dochodzi jakby z oddali.

Milczę.

Mężczyzna przechyla głowę na bok, mocniej dociskając ostrze do mojej tętnicy.

– Jeszcze jedno słówko, a będziesz miała ten nóż w gardle.

Chłód i pustka zięjące z jego głosu wprawiają mnie w drżenie. Odnoszę wrażenie, że nie ma znaczenia, czy będę żyć, czy umrę, nim dotrę tam, dokąd mnie zabierają. Mężczyzna puszcza moją twarz i wystawia rękę, a ten drugi podaje mi strzykawkę.

Łzy, które do tej pory udawało mi się powstrzymywać, teraz spływają po policzkach na samo wspomnienie o tym, co się ze mną działo, ilekroć wbijano mi igłę.

– Płacz ci nie pomoże, dziewczyneczko – mamrocze, przystawiając strzykawkę do mojego ramienia. Trzęsę się z chłodu i ze strachu, a krew nagle wypełnia się adrenaliną.

Mężczyzna pochyla się niżej. Czuję, jak igła zagłębia się w moim ciele. Jego palec naciska tłok.

– Im mniej będziesz się rzucać, tym łatwiej ci będzie. Zaufaj mi.

Mam mu zaufać? Jak mogłabym zaufać człowiekowi, który decyduje o moim życiu i śmierci z taką lekkością?

Nie. Nigdy. A jednak w dwóch ostatnich jego słowach kryje się obietnica.

Obietnica, której nie jestem świadoma, ale w którą pragnę wierzyć. Wkrótce powraca znajome uczucie bezwładu. Powieki mi opadają i wiem, że kiedy się przechylę, huknę głową w burtę, ale nie mam już kontroli nad ciałem.

– Ruszajmy. Nie zostało wiele czasu – mówi mężczyzna. Potem dodaje coś jeszcze, lecz do mnie to nie dociera.

Świat wokół się kołysze, gdy opadam bezwładnie, lecz nie czuję uderzenia. Czyjaś dłoń chroni moją głowę i łagodnie kładzie mnie na pokładzie. Nim jestem w stanie dostrzec właściciela ręki, przed oczami mam już ciemność.



On

Delikatnie kładę jej głowę na podłodze, zadając sobie pytanie, czemu właściwie to robię. Teraz nie pozwoliłem jej wyrządzić sobie krzywdy, ale przecież odtąd to ja będę ją krzywdził, rujnował jej niewinną duszyczkę.

– Śpi? – pyta jeden z nowych.

Kiwam głową.

– Płyn.

On i jeszcze jeden facet zabierają się do roboty i chwilę później jesteśmy w drodze do tego piekła na ziemi, w którym niedługo znajdzie się nasza nowa pacjentka. Siadam, ściągając maskę, i wzdycham głęboko. Nadal czuję adrenalinę w żyłach, a serce wali mi jak młotem.

Nie sądziłem, że tak będzie wyglądało moje życie w wieku trzydziestu siedmiu lat. A jednak to życie wybrało mnie, a nie na odwrót. Jestem niewolnikiem własnego losu, mrok skuwa mi serce i duszę.

Spoglądam na horyzont, a wiatr smaga moje policzki pokryte kilkudniowym zarostem. Przeczesałam palcami włosy i przenoszę wzrok na dziewczynę. Ona też wkrótce zostanie uwięziona. Tak jak ja.

Już została, skoro jest tu z tobą.

Skupiam się na jej twarzy, na bladej skórze, której mam ochotę dotknąć tylko po to, by poczuć pod opuszkami jej miękkość. Czarne niczym noc włosy pieczą jej policzki i opadają na oczy. Jest taka piękna... jak anioł. Tyle wystarczy, by moje serce znów zaczęło szybciej bić.

Ale to w żaden sposób jej nie pomoże. Ja będę diabłem, który oderwie jej skrzydła, będę jej upadkiem.

Przygotuj się, aniołku. Przygotuj się.



Rozdział trzeci

Agatha

– A więc... jaki on jest? – pytam Helenę, gdy siada przy toalecie i ściąga perłowe kolczyki. Spoglądam na nią, opierając się o stół.

Widzę, jak jej policzki pokrywa rumieniec, a na ustach pojawia się nieśmiały uśmiech. Nie patrzy na mnie.

– On... jest w porządku.

Marszczę czoło, niewiele z tego rozumiejąc. Czemu kłamie?

– Tak po prostu? W porządku? A jednak się czerwienisz, kiedy o nim wspominam.

Helena przewraca oczami, ale nadal się uśmiecha, sięgając po chusteczkę, by zmyć wiśniową szminkę. Chciałabym taką mieć.

– Powiedz mi, Heleno – jęczę, potrząsając jej ramieniem.

– Czemu on cię tak obchodzi? – Siostra chichocze.

Wydymam wargi i zakładam ręce na piersi.

– Bo mama nie pozwoliła mi go zobaczyć. Powiedziała, że mogą tam być tylko dorośli, a ja mam zostać w pokoju.

– Ach. Ale sądziłam, że wyjrzysz przez okno w łazience.

– Nie! Próbowалам wyjrzeć z biblioteki... – Zaciskam wargi, czując ogarniające mnie zakłopotanie. Zostałam przyłapana. Równocześnie mama nigdy nie mówiła, że nie wolno mi wejść do biblioteki, żeby zobaczyć człowieka, który wkrótce ożeni się z moją siostrą.

– A więc weszłaś, co? – Teraz to Helena krzyżuje ramiona, mrużąc powieki i przygryzając dolną wargę. – Czy to nie ty swego czasu mówiłaś, że to nieładnie tak wtykać nos w nie swoje...

– Nie miałam złych intencji! – Kopię niewidzialny kamień i spuszczam wzrok. – Po prostu chciałam go zobaczyć.

– Ooo... Chodź tutaj.

Sadza mnie na kolanach i otacza ramionami.

– Wyglądał jak książkę z bajki.

Wytrzeszczam oczy z podekscytowania.

– Jak ten z Kopciuszka?

Helena kiwa głową, uśmiechając się lekko.

– Dokładnie tak samo. Jest słodki, uprzejmy i szanowany.

– A więc za niego wyjdiesz?

– Tak sądzę.

– Ale przecież on nie ma twojego pantofelka. W Kopciuszku tak było. Bohaterka najpierw zgubiła pantofelek, a dopiero potem wyszła za księcia.

Helena wybucha głośnym śmiechem, po czym całuje mnie w policzek. Ocieram twarz dłonią.

– Tak było w bajce. Może trochę ją zmienimy, jak sądzisz?

– A więc książkę nie da ci szklanego pantofelka?

Ponownie chichocze, przytulając mnie jeszcze mocniej, a ja rozkoszuję się jej ciepłem i miłością. Mam tylko nadzieję, że niezależnie od tego, czy dostanie szklany pantofelek, czy nie, ona również będzie żyła długo i szczęśliwie.



Czuję, jak moje ciało się kołysze. Mrugając, z wolna odzyskuję świadomość. Ponure, szare niebo to pierwsze, co widzę. Na twarzy lądują mi krople deszczu. Przełykam ślinę – wyschnięte gardło jest za to wdzięczne. Staram się poruszyć dłońmi, lecz wówczas zauważam krępujące je grube liny. Marszczę czoło, wykręcając ręce, ale to na nic.

Nagle powracają do mnie wspomnienia o tym, jak zostałam porwana przez trzech mężczyzn. Dostrzegam ich kątem oka. Są odwrócenii tyłem, jeden z nich wiosłuje. Moje serce przepełnia się przerażeniem. Ostrożnie unoszę głowę, próbując zobaczyć, dokąd płyniemy.

Wokół nie ma nic prócz wody – głębokiego, czystego, ciemnego oceanu. Kiedy spoglądam w tę samą stronę, w którą patrzą mężczyźni, spostrzegam sporą wyspę. Z tej odległości niewiele widzę, ale mogę powiedzieć, że otacza ją gęsty las, na wzgórzu zaś wznosi się coś, co bardzo przypomina zamek.

Jesteśmy już blisko i na samą myśl o tym zaczynam się dusić.

Boże. Co ja mam zrobić?

Muszę stąd jakoś uciec.

Nadal staram się wyswobodzić z więzów, ale trudno mi poruszać dłońmi. Nie mam wyjścia – muszę zaatakować porywaczy. Spoglądam za siebie i na szczęście dostrzegam nóż, ten sam, który jakiś czas temu jeden z nich przykładał mi do gardła.

Jak najwolniej i jak najciszej zbliżam się do przedmiotu i chwytam go zębami. Kieruję ostrze ku linom i zaczynam

poruszać głową w przód i w tył, nieustannie modląc się, by nie zwrócić uwagi żadnego z porywaczy. Wreszcie czuję, jak więzy puszczają, lecz nim zdołam się tym nacieszyć, łódka zwalnia. Za kilka sekund dobijemy do brzegu.

Cholera. Nie. Nie. Nie.

To nie może być prawda. Boże, nie, błagam.

Przyspieszam. Dłonie pokrywają się potem, a po kręgosłupie przechodzi mi dreszcz paniki. Kiedy lina opada, uwalniając moje ręce, dostrzegam iskierkę nadziei, niemniej gaśnie równie szybko, jak się pojawia, gdy pada na nią cień jednego z porywaczy. Chcę popatrzeć w górę, ale wtedy czuję, jak jego palce zaciskają się na moich włosach i odchylają mi głowę do tyłu. Chwytam rękojeść noża gotowa przeszyć nim jego zimne serce, lecz kiedy łódka uderza o ląd, tracę równowagę i ostrze wyslizguje mi się z dłoni.

– Au! – jęczę z bólu. Jednak dopiero gdy mężczyzna ciągnie mnie za włosy, zmuszając do wstania, dowiaduję się, czym jest agonía. Wkrótce dołącza jego kolega i obaj wynoszą mnie z łódki tak samo, jak wcześniej mnie tu wnieśli. Jedyne, co słyszę, to huk fal i krakanie wron.

– Puście mnie! Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! – krzyczę, usiłując się wyrwać. Dostrzegam fragment skóry wystający spod rękawa tego, który trzyma moje ramiona, i bez chwili zastanowienia zatapiam w niej zęby.

– Kurwa! – warczy, ale nie puszcza.

Gryzę mocniej, prawie czuję na języku metaliczny posmak jego krwi. Wreszcie mężczyzna się poddaje i odsuwa rękę, puszczając moje ramiona. Jego kompan traci równowagę i upada.

Lina łąduje na ziemi, a ja wreszcie jestem wolna. Nie tracąc ani chwili, dźwigam się i puszczam biegiem w stronę ciemnego lasu. Mężczyźni ruszają w pościg za mną, ale ja ani myślę się odwracać. Pędzę głębiej i głębiej między drzewa. Im dalej jestem, tym większy chłód mnie ogarnia. Mój ciężki

oddech zamienia się w parę, a pod stopami, wilgotnymi od mokrej ziemi, czuję suche liście.

Pali mnie w płucach. Brakuje mi powietrza, lecz umysł podpowiada, że nie mogę się zatrzymać nawet na sekundę. Nagle sobie uświadamiam, że już nie słyszę za sobą odgłosu kroków. Otacza mnie cisza.

Wreszcie ośmielam się spojrzeć przez ramię. Nikogo nie ma. Zatrzymuję się przy sekwoi i biorę głęboki wdech. Zaczynam kaszleć, lecz zaraz nieco się uspokajam i rozglądam w poszukiwaniu porywaczy. Przeczesuję palcami włosy i ruszam przed siebie, tym razem wolniej.

Muszę się stąd wydostać. Jediną drogą wydaje się łódka, lecz nie mogę podjąć ryzyka powrotu do niej. Tamto miejsce jest teraz pewnie pilnowane. Na moim ciele pojawia się gęsia skórka, więc otaczam je ramionami i pocieram, aby się rozgrzać. Sukienka, którą mam na sobie, jest zbyt cienka.

Nagle czuję dreszcz. Nim jestem w stanie się w ogóle poruszyć, przyciągają mnie znajome ramiona.

– Nie masz dokąd uciec, mała – szepcze mężczyzna, a jego gorący oddech omiata mi ucho.

Jednym szybkim ruchem przyciska mnie do pnia i związuje mi nadgarstki za plecami. Biorę wdech, kiedy odwraca mnie twarzą do siebie i chwyta za gardło, pochylając się bliżej. Nadal ma na sobie maskę.

– To, co zrobiłaś, nie ujdzie ci na sucho.

– Proszę, puść mnie. Nie rozumiesz...

– Ćśś. – Przykłada palec do ust na masce. – Może ci się wydawać, że stąd uciekniesz albo że ktoś przyjdzie ci z pomocą, ale niech coś dotrze do tej twojej tępej główki. – Jego palce zaciskają się na mojej szyi. – W tym miejscu nikt nigdy ci nie pomoże. Jesteś niczym schwytany ptaszek. Ja jestem łowcą, który cię złapał, a ta wyspa będzie twoją klatką.

Znajduje się tak blisko, że maska dotyka mojego nosa.

– Witaj w Mery Heights, mała. Przygotuj się na życie w koszmarze. Ale przede wszystkim – mówi i unosi maskę, dzięki czemu widzę jego uśmiech oraz kilkunastu zarost – przygotuj się na to, że skala cię sam diabeł.

Muska ustami mój policzek. Wzdłuż kręgosłupa przechodzi mi dreszcz. Te słowa to groźba. Jego obecność tutaj wydaje się niewłaściwa, a zachowanie zapowiada niebezpieczeństwo.

Wyjmuje z tylnej kieszeni spodni skrawek materiału i zakrywa mi nim oczy, pozbawiając mnie w ten sposób jednego ze zmysłów. Mój oddech przyspiesza; jestem taka przerażona, taka bezbronna.

– Im bardziej będziesz się opierać, tym bardziej się zatracisz. Mam dla ciebie radę: postaraj się to jakoś znieść. Przychodziło tu wielu odważnych, ale nawet oni wreszcie się poddawali – mruczy.

Trzymając za ramiona, dokąś mnie ciągnie, a ja nadal zastanawiam się nad jakąkolwiek możliwością ucieczki. Do moich uszu docierają kolejne kroki. A więc jego koledzy też tu trafili.

Mężczyzna popycha mnie naprzód, a ja uderzam w czyjś twardy tors. Ktoś chwytą moje związane dłonie.

– Mam jej dać następny zastrzyk? – słyszę głos.

– Nie, dostała już jeden. Dodatkowa dawka może źle wpłynąć na leczenie.

Dłoń zaciśnięta na moim nadgarstku ciągnie mnie w stronę mojej „klatki”. Milczę przez całą drogę i nawet nie próbuję się opierać, bo wiem, że to nie jest dobry moment. Teraz muszę podążać wyznaczoną ścieżką.

Może kiedy dotrę na miejsce, dowiem się wreszcie, skąd uciekam. Pytanie jednak brzmi: jak długo będę musiała walczyć o swoją wolność?

Droga zdaje się nie mieć końca. Jedyne, co słyszę, to odgłosy przefruających nad nami wron i szum wody. Im dalej idziemy, tym zimniej się robi.

Nie ma śniegu, ale wydaje mi się, że światło słoneczne też tu nie dochodzi. Chwilę później mężczyźni się zatrzymują, a ja wraz z nimi.

Nagle moich uszu dobiegają zgrzyt otwieranej bramy i chrzęst liści.

Czy już tu dotarliśmy?

Czuję gulę w gardle, a moje ciało dygocze ze strachu. Żyłę wypełnia adrenalina przypominająca lodowatą wodę.

Cholera.

Wchodzimy do środka. Ktoś w oddali wrzeszczy. Dźwięk jest cichy, lecz słyszalny, a to wystarczy, by przerazić mnie jeszcze bardziej.

– Czekajcie tu – nakazuje ten, który mnie znalazł i przechodzi obok. Wkrótce wraca i tym razem zostają popchnięta w jego stronę. – Idźcie i poczekajcie na mnie. Zaraz do was dołączę – mówi, po czym zaczyna mnie dokądś prowadzić.

Otwierają się kolejne drzwi, tym razem zupełnie zwyczajne. Muszę się znajdować w jakimś wnętrzu, bo powietrze wokół nie jest już tak zimne.

Słyszę dookoła przyciszone głosy i szept, lecz prowadzący mnie mężczyzna do nich nie dołącza. Po jakimś czasie przystaje, a moich uszu dochodzą dźwięk wyciąganych kluczy i cichy chrzęst zamka. Przechodzimy przez drzwi i znowu się zatrzymujemy. Tym razem stoi za mną. Jest tak blisko, że czuję jego ciepły oddech na szyi.

– Teraz cię rozwiążę – oznajmia. *Doprawdy?* – Ale nie zdejmę ci przepaski z oczu. Będiesz mogła zrobić to sama, dopiero gdy usłyszysz, jak zamykają się drzwi. Zrozumiano? – warczy. Już sama jego obecność wywołuje we mnie silne uczucia.

Kiwam głową.

Wystarcza jeden ruch i moje dłonie znów są wolne. Poruszę nimi, by pozbyć się bólu w nadgarstkach, lecz mężczyzna nadal stoi za mną. Teraz pochyła się jeszcze bliżej, niemal

dotykając ustami mojego ramienia. Odsuwam się w obawie, że zrobi coś jeszcze gorszego niż porwanie mnie.

– Nie zbliżaj się – ostrzegam go. Przepaska nadal nie pozwala mi zobaczyć tego potwora.

Mężczyzna odpowiada ponurym śmiechem, w którym pobrzmiewają jedynie groźba i mrok.

– Jeżeli sądzisz, że to ty będziesz tu dyktowała warunki, pozwól, że wyjaśnię ci to i owo.

Słyszę jego kroki, gdy się zbliża. Odsuwam się znowu, aż trafiam plecami na ścianę. Nie mam dokąd uciec.

Unoszę dłonie, by zdjąć przepaskę, lecz chwytą mnie za nadgarstki.

– Łamiesz zasady, mała – mamrocze, przyciskając moje dłonie do muru ponad głową.

– Po prostu mnie zostaw. Nie...

– Co „nie”? Mam cię nie krzywdzić? Nie gwałcić? – wchodzi mi w słowo. Gdy wymienia mój największy lęk, oddech zaczyna mi się rwać, a pierś unosi się i opada szybko w jego rytmie. Czuję palce mężczyzny na swojej brodzie. – Jesteś jedynie więźniarką. A więźniowie nie wydają rozkazów, tylko klęczą. – Jego oddech muska mój policzek, a palce zaciskają się na brodzie. Ma duże, szorstkie i takie zimne dłonie.

– Próbuje mnie złamać, torturuj mnie w każdy możliwy sposób, ale i tak nigdy nie padnę na kolana. Nigdy – ostrzegam przez zaciśnięte zęby. Nie zamierzam się go bać.

Mężczyzna śmieje się cicho.

– Trafiła nam się twarda sztuka. Cóż, będę miał ubaw, łamiąc cię krok po kroku każdego dnia.

Wiem, że się uśmiecha, gdy puszcza moje dłonie i się odsuwa.

– Ale pamiętaj, że sama zgotowałaś sobie taki los.

Powiedziawszy to, wychodzi i zamyka drzwi. W tej samej chwili ściągam przepaskę i mrugam szybko, by przyzwyczaić oczy do światła. Jestem w sypialni, ciemnej i zakurzonej.

Ściany wykonane są z szarej cegły, tu i ówdzie popękanej. Nie ma tapety, farby, zdjęć ani obrazów. Widzę jednak słowa napisane długimi, niezdarnymi ruchami: „NIE CZCIJ DIABŁA W SOBIE. UFAJ TYLKO BOGU I ANIOŁOM”.

Na brudnym suficie również dostrzegam pęknięcia i mam wrażenie, że w każdej chwili może się na mnie zwalić góra gruzu. Tuż obok jednoosobowego łóżka, na którym leżą jedynie białe prześcieradło i poduszka, stoi szafka, a na niej – latarenka. Moją uwagę przyciąga okno, przez które do wnętrza wnika zimne powietrze. Nie ma w nim szyb, jest za to kołysząca się na wietrze cienka firanka. Podbiegam bliżej i wyglądam, lecz nie widzę nic prócz oceanu i drzew.

Cholera.

Wracam do drzwi – są zamknięte od zewnątrz. Raz za razem szarpie klamką, niemalże ją wrywając, ale nie daję rady zamkowi.

Robię krok w tył. Palą mnie płuca. Duszę się od tego zamknięcia i bezradności. Nie zostało mi nic poza czekaniem. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale na razie nie mam wyboru.

Muszę być silna i cierpliwa.

Wracam do swojego nowego łóżka, siadam na nim i opieram plecy o poduszkę, przyciągając kolana do piersi.

Czekaj. Obserwuj. A później uderz.

Słowa siostry odbijają się echem w mojej głowie. Teraz wydają się światelkiem w tym ciemnym tunelu. Uda mi się stąd uciec.

W taki czy inny sposób, choćbym miała zginąć, próbując.

© Shanjida Nusrath Ali
© Wydawnictwo Black Rose, Zamość 2025

ISBN 978-83-68216-60-8

Wydanie pierwsze

Tłumaczenie

Marta Lisowska

Redakcja

Justyna Luszyńska – Zyszcak.pl

Korekta

Paulina Zyszcak – Zyszcak.pl

Kinga Dąbrowicz

Danuta Perszewska

Magda Adamska

Kinga Litkowiec

Skład i łamanie

Andrzej Zyszcak – Zyszcak.pl

Projekt okładki

Melody M. – Graphics Designer

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej części nie mogą być przedrukowywane ani
w żaden inny sposób reprodukowane lub odczytywane
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autorki
i wydawcy.